35 GR

ŚWIAT SZKOLNY

Z. M.

MIESIĘCZNIK

WYDANY STARANIEM SAMOPOMOCY SZKÓŁ ŚREDNICH W CZĘSTOCHOWIE.

ROK VI. Luty 1932 Rok Nr. 4(39)

Z NOWYCH WYDAWNICTW.

Wł. Nekrasz. „Harcerze w bojach". Część II. Warszawa, Gł. Ks. Wojskowa 1931 r. str. 504. Cena za obydwie części zł. 14.50.

Wślad za wydaną w r. 1930 pierwszą częścią monumentalnej pracy Wł. Nekrasza p. t. „Harcerze w bojach" obecnie ukazała się część druga, stawiąca zarazem jej zakończenie.

Jest to dalszy ciąg historji bohaterskich czynów młodzieży harcerskiej w walce o niepodległość Polski w latach 1919—1920. Na treść jej składają się rozdziały:

1) rok 1920, 2) chorągiew Związku Harcerstwa Polskiego w obronie Ojczyzny w r. 1920. Mobilizacja, zaciąg, udział poszczególnych drużyn. 3) 201 ochotniczy pułk piechoty, 4) w 205 ochotniczym pułku, 5) trudy i znoje wojenne, 6) 236 ochotniczy pułk piechoty w rozstrzygającym boju o Warszawę, 7) 5 harcerski pułk piechoty w obronie ziemi wileńskiej, 8) Harcerstwo w straży granicznej, 9) Pogotowie wojenne harcerek 1914—1921, 10) Śląsk Cieszyński w walkach o niepodległość Polski 1914—1920, 11) Powstanie na Górnym Śląsku, 12) gawędy wojenne. Do książki dołączono spis wszystkich poległych i odznaczonych harcerzy za czas 1914—1920 wraz z krótkiemi ich życiorysami. Jest tu przedstawiona wszechstronnie działalność harcerzy: nietylko więc na polu walki, ale i w służbie pomocniczej.

Praca jest oparta na źródłach z archiwum oraz głównie na kronikach i wspomnieniach osobistych poszczególnych uczestników.

Cały ten obfity materjał został przejrzyście i krytycznie ułożony, dzięki czemu praca zyskała bardzo pod względem wartości naukowo-historycznej, stanowiąc cenny przyczynek do historji Harcerstwa polskiego.

Jednocześnie książka daje wiele wartości wychowawczych, objawy bowiem tego gorącego i ofiarnego patrjotyzmu działają nawet na dorosłych niezwykle podniośle i wywołują głębokie wzruszenie. Porywające są te obrazy wysokiego poziomu młodzieńczego idealizmu. Literackie zalety książki występują w wielkiej bezpośredniości opisywanych wydarzeń. Mamy oczyma z wielką wyrazistością przedstawione sceny życia obozowego, szczęk broni, huk dział i świst kul.

Książka jest niezwykle ciekawa i wartościowa dla każdego, a zwłaszcza dla młodzieży. Powinna się znaleźć w bibjotekach szkolnych i wśród oddziałów przysposobienia wojskowego.

MORZE.

U stóp mych morze... A z oddali fale
Jak stado owiec trwożnie zbitych biegną,
To znów podniósłszy grzywy swe zuchwale
Suną spienione nim — u stóp mych legną.
Stoję spokojnie i dal wzrokiem mierzę,
Tę dal bezkresną, dal — zda się — bez końca,
Hen gdzieś majaczy port w fiolety świeże
Już otulony od zachodu słońca...
Na falach blaski kładą się i cienie
I barw gra na nich harmonja ułudna.
Niby nieznaną — ale sercu droga...
I słodko płynie jak wód mas westchnienie
Wieczornych modłów melodja tak cudna,
Że myśl z naturą mknie hen — aż do Boga...

W. S. „Zmartwychwstanie".

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VI. CZĘSTOCHOWA, LUTY 1932 ROK. Nr. 4 (39).

Nad Bałtykiem.

Już dwanaście lat mija, jak sine fale morza obryzgały pęciny zwycięskich rumaków, a ich kopyta zdeptały bursztynowy piasek wybrzeża. Dwanaście lat upływa od chwil symbolicznych zaślubin Polski z morzem. Wszyscy dziś mówią o morzu i o potrzebie budowania polskiej floty morskiej.

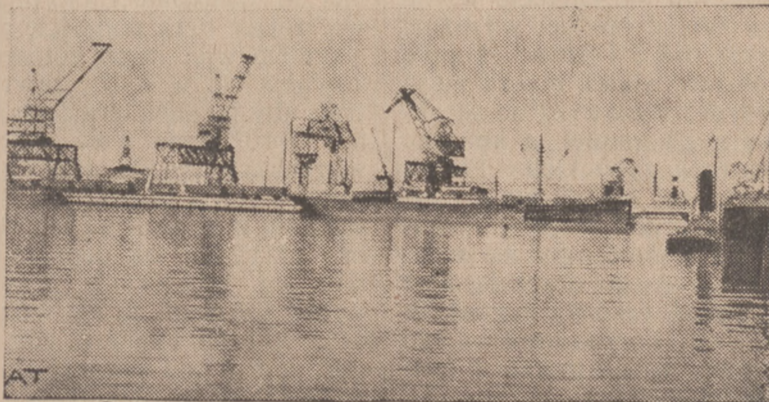
Czemże jest dla Polski morze? Na to pytanie mogą nam jedynie odpowiedzieć fakty historyczne, które się składały przez szereg wieków.

Za pierwszych Piastów, gdy w dążeniach tych monarchów przebija chęć do opanowania krainy nadrzeźnej, czyli tak zwanego Pomorza, Państwo Polskie ciągle rośnie w siłę. Gdy zaś pod wpływem odwiecznej misji szatańskiej niemieckiego „Drang nach Osten" traci Polska morze, powoli upada i dopiero z chwilą odzyskania dostępu do niego za Kazimierza Jagiellończyka po zmiażdżeniu Zakonu Krzyżackiego staje się jednem z najpotężniejszych państw europejskich i przeżywa okres swej potęgi mocarstwowej. A gdy znowu skutkiem niezrozumienia przez ówczesną szlachtę korzyści i znaczenia morza traci je, chyli się coraz bardziej ku upadkowi i zostaje wreszcie wymazaną z karty politycznej Europy.

Kiedy po półtorawiekowej niewoli zmartwychwstało niepodległe Państwo Polskie, wtedy, jeżeli nie cała, to przynajmniej znaczna część społeczeństwa polskiego, zrozumiała znaczenie morza i dostaliśmy je — nie wielkie wprawdzie, ale nasze własne, polskie morze. A że tę ideję zrozumieliśmy, tego najlepszym dowodem jest fakt, że tam, gdzie niegdyś znajdowały się tylko wydmy i piaski, a wśród nich nędzne osady rybackie, tam dziś wre i kipi życie, pracują dźwigi i maszyny, a na dość licznych już okrętach powiewa bandera o śnieżystej bieli i królewskiej purpurze, roznosząc w dal sławę polskiego imienia.

Jakież więc są pożytki z tego morza? Przedewszystkiem morze jest dla nas







PÓŁ-ŚWIATŁA I PÓŁ-CIENIE.

Siedzę i dumam. Za oknem dzień kona,
Mrok ziemię tuli i do snu kołysze.
Coś mię rozmarza, a szyba zamglona
Przesącza smętek w tę milczącą cisze...

Wiatr gdzieś porusza nagiemi drzewami,
Zmierzch daje światu niebieskawe tony,
Sen gdzieś się czai cicho za oknami,
Oczy mi lecą we świat rozemglony.

Widzę mur domu szarego w oddali,
Latarnie przez mgły w ulicy migocą,
A wiatr swym szumem czegoś się
wciąż żali
Na niebie pierwsze gwiazdy już się
złocą...

Jakaś melodja w tej ciszy i mroku,
Marzenia płyną, jak senne widziadła,
Wieczorna chwila, tak pełna uroku —
Wsłuchana w ciszę dumam...
Noc zapadła.

Hanna Rokossowska (Nazaret).

Klara Viebig.

ŚPIĄCE WOJSKO.

Przekład autoryzowany z niemieckiego Tad. Zielińskiego, G.P.T.

Tak, niegdyś, niegdyś... Owczarz Dudek, który najchętniej baje o tem, co niegdyś było, wskazuje poważnie na czoła słuchaczy. Czyż zapomnieli już zupełnie, że „niegdyś“ nie znaczy „dziś“?

Niegdyś... ach, wtedy kraj polski nie znał jeszcze niewoli, wtedy głodny szedł do sąsiada i mówił: „Daj mi coś zjeść“. A gdy sąsiad nic nie miał ,szedł razem z nim do innego, a gdy ten też nic nie posiadał — szli dalej, aż przyszli wreszcie do bogatszego, który mógł ich ugościć. Jedli, pili i przebywali u gospodarza, póki im się podobało. Tak, była niegdyś w Polsce gościnność, serca ogrzewała miłość bliźniego, litość i współczucie. Gdzież te czasy?...

Smutno kiwa głową stary owczarz. Lecz skierował swe oczy na prawnuczka, który pełzał na czworakach po izbie i wzrok jego ożywił się; Jasio, maleńki Jasio, który będzie żył w wolnej znów Polsce, w potężnej, jak niegdyś Polsce...

. . . .

Łysa Góra leży jeszcze otulona białym całunem, lecz gdy śniego stopnieją — rozmięknie ziemia, która przykrywa śpiących rycerzy i wstanie z góry potężny hufiec, szczęknie oręż, zabłysną kosy, a z piersi, które długo milczały, wyrwie się okrzyk: „Niech żyje Polska!“.... A Niemcy uciekną jak psy, gdy wilk zawyje.

„Wicie co wom gazdy powim“ — prawi stary owczarz — „weś psecie źle ludziska brechali, kiej pedzieli, ze cysto nimas Polski. Ześ tyś to, o! Nie lezy uno w ziemi, ino se śpi niebozuntko, kiej bachor w kołesce, weś go goździnna lulajom! O niejedno jus wiesna psesła, kaj se śpi. Lec sie weś nie bójta, słysyć uno syśko, kiej wieterek od wyhodu w sosnach i po polach pohuluje, kiej my dziecki jej syrdecne weś ino han opłakujewa, kaś tęskni do nij, niegój do matuli najrodziwszej! A to se haw zapamiętajwa, gazdy, ze psyndzie godzino, kiej wstanie i powi: „Cas psyseed“.

„O mojeś ty — bees miał na tonsik cas misa dość, a chlib zawse bees miał?“ Pytają górale, którzy co wieczór zbierają się u gaduły Dudka. A stary odpowiada: „Syćkiego bees mioł dość, byś ino scęśliwy beeł i matkę-ziemie wolnom mioł, to haś! Módlwa się ino, by nom gazda niebieski to scynście spuścieł“.

I zasyłali w cichą noc, w niebo zasłane gwiazdami korne modły. — Czy Bóg ich wysłucha?.......

. . . .

Była jesień — owczarz Dudek i mała Marynka pognali swe trzody niedaleko

góry, wokół któreś biegły druty telegraficzne. Nagle usłyszeli jakiś dziwny dźwięk, niby dzwony cudne, muzyka jakaś anielska, niby skrzypeczki, na których święci w niebie Jezuska do snu kołyszą.

— „Co to“ — pyta maleńka Marynka, a dziecięce oczy wypatrują czegoś z ciekawością. Zasłuchał się stary, lecz uszy jego osłabne od starości nie rozeznały wiatru, który tkał i jęczał na drutach. Tylko tęskne oczy jego patrzyły na sosny, chwiejące się na szczycie, hen gdzieś daleko zapatrzył się stary gazda, jakby widział cud jaki. Wreszcie ocknął się, przykląkł, przyłożył ucho do ziemi i skinął na dziecko, by to samo czyniło.

I długo, długo słuchali....

A choć dźwięk nie powtórzył się więcej, stary Dudek był pewien, że był to pierwszy znak. Postanowił w noc 24 grudnia, gdy pierwsza gwiazda na niebie zamigoce, gdy w świętą noc zwierzęta zaczną gadać, postanowił iść znów na górę. A gdy nadeszła święta noc — podreptał stary owczarz na Łysicę, choć mróz szczypał mu pomarznięte policzki, a silny wiatr śniegiem dął w twarz. Pobiegła wieść od chaty do chaty, z ust do ust, że Dudek słyszał w świętą noc śpiących rycerzy, że dali mu znak, już drugi znak, że zbliża się święta, wielka godzina......

A gdy Chrystus w Wielką Noc z grobu powstał — rycerze dali znak trzeci i powstali jak jeden mąż.

. . . .

Głośno trzaska z bicza woźnica i popędza konie, a wóz toczy się przez drogi wysadzone białemi brzozami i lipami, których pachnące kwiecie wieczorny wiatr unosi, pędzi przez drogi polne wśród łubinów i koniczyn. Szybko, szybko hen na Łysą Górę, za którą zapada ognista kula słońca, oblewająca świerki czerwienią jak krwią. W powozie siedzi młoda, piękna kobieta. Twarz jej rozjaśnia uśmiech szczęścia, zadowolenia, że już wkrótce zobaczy swego kochanka, rycerza von Deutschan. Przedstawia sobie piękna pani, z jaką radością on ją przywita, jak słodko śnić będą cudną baśń o szczęściu... O, oby prędzej już to nastąpiło... Z uśmiechem szczęścia na pięknych, krwawych usteczkach jedzie Helena von Doleschal na Łysą Górę.

. . . .

A tam, u celu podróży pięknej Heleny, trzyma mała Marynka na łonie głowę konającego rycerza. Czerwień zachodzącego słońca oblewa jak krwią świerki, kołyszące się i szumiące poważnie i mieszą się z krwią rannego.

Opodal stoi oparty na kiju stary owczarz posępny i zadumany. Długie, siwe włosy opadają na starczą, wyschniętą szyję, stoi z odkrytą głową, poważny w obliczu śmierci, a wiatr targa jego białe jak mleko włosy i zasłania oczy. Paśli swe trzody owiec na górze, gdy w ciszę lasu wdarł się nagle huk strzału. Pośpieszyli na miejsce, skąd odgłos doszedł i znaleźli tego oto niemca. Między wystającemi korzeniami leżał porzucony przez zabójcę rewolwer, z którego kula trafiła w skroń rycerza von Deutschan, leżącego u stóp drzewa. Podniosła Marynka bez lęku zranioną głowę, a z ust jej wybiegły słowa modlitwy: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie“....

Martwe oczy rycerza von Deutschan nic już nie widziały, mgła śmierci powlekła je swą zasłoną. Słońce ostatniemi promieniami spojrzało swemi krwawemi oczyma na konającego i znikło hen za horyzonty, a z wieży wiejskiego kościółka, przytulonego d ostóp góry załkały dzwony na „Anioł Pański“. Przeżegnał się stary Dudek i po chwili zaczął mówić: „Haś, taką syćkie wrogi nase zewrzeć musom! Tyn zmarł, inni tys pudom hyso za nim. Siła roków mineło, niejedno wiesna beła, niejedyn śnig stopniał, a matula naso śpiom ino ciągiem — lec jus ocynta otwiero, juz sie hano budzi widno, kiej sie to robi“. — Wzniósł stary ręce do góry, kij wypadł z drżącej dłoni — obrócił twarz ku słońcu, które już skryło się za ciemnemi chmurami. „Hej, słonko ty moje najmilejse, zasłoń juz hale jutro znów świcić bees“. I ty Polsko, ziemio mojo kochano wstanieś! Ciesta sie ludziska, matula nasa jus wstajom, jus idom“. „Dziadziu, słuchajta“ — szepce maleńka Marynka. „Co

dziecko“ — pyta stary, a z dala słychać jakiś grzmot, huk... zbliża się coraz bardziej... rośnie... bo to... czy wóz po drodze się toczy... czy piorun z nieba pogodnego... czy... nie, stary Dudek żegna Marynkę drżącą ręką znakiem krzyża świętego i cichym załamanym ze wzruszenia głosem mówi: „Marynko, toć Bóg znak nom daje... daje znak, ze nasym wrogom śmierć blisko... ze jus cas. Słuchaj... godzina wes nadesła... Polska wstaje... śpiące rycerze ocknęli sie, powstali... Polska jus je!........

HONOR LOTNIKA.

Szary świt wciskał się przez firanki do dużego pokoju i oświetlał słabym blaskiem postać siedzącego przy biurku mężczyzny w mundurze oficerskim. Młody lotnik zagłębił się w czytaniu nowego dzieła z dziedziny aerostatyki i trzymanym w ręku ołówkiem kreślił model płatowca.

Nie czuł zmęczenia mimo nieprzespanej nocy. Myśli jego były zbyt pochłonięte dziełem, mającem uczynić przewrót w lotnictwie, aby mógł zauważyć mijające godziny. A tymczasem na ziemię padały promienie słońca, przesiane przez niebieskawą mgłę świtu. Zdala dobiegł warkot samolotu. Lotnik przeniósł wzrok na stojący obok zegar. Była godzina szósta.

Za dwie godziny miał odbyć lot na świeżo zakupionym aeroplanie. Od tego lotu zależał nietylko jego honor lotnika i godność pułku, ale także i los państwa.

Nieprzyjaciel z silnemi zastępami floty powietrznej kierował się do zagrożonego terenu. Każda chwila przybliżała go o dziesiątki kilometrów. Od szybkości Rządu zależało bezpieczeństwo kraju.

Kwestja została szybko rozstrzygnięta. Ważną tajemnicę urzędową powierzono młodemu porucznikowi, cieszącemu się opinją zdolnego i śmiałego pilota. Zgodził się przewieźć instrukcje z głównego sztabu do najdalej na wschód wysuniętej placówki. Nie zawahał się ani na chwilę, choć uprzedzono go, że lot to niebezpieczny, prawie równy samobójstwu.

Rząd musi jednak próbować ostatniej deski ratunku. Oficer sprężył się służbowo, ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy, zasalutował i odszedł. A pod grubym, szorstkiem materjałem munduru zabiło żywiej żołnierskie serce.

Przygotował się do drogi i o oznaczonej godzinie był już na lotnisku. Wskoczył do samolotu, puścił w ruch motor i uniósł się w górę. Zasalutował żegnającym go zwierzchnikom i staremu kapelanowi, kreślącemu krzyż w jego stronę. Po chwili był już wysoko. Lotnisko zginęło mu z oczu, pod nim usuwały się w dal pola, zasiane świeżem zbożem i ciemne lasy. Czuł przejmujący chłód wiatru, powstałego z pędu samolotu, a warkot maszyny niemal go ogłuszał. Był dziś dziwnie zdenerwowany. Przecież nie bał się niebezpieczeństw, ani nie lękał się pogróżek, jakie od paru dni otrzymywał od tajnych konfidentów nieprzyjaciela. Nie bał się, a w każdym razie nie przyznawał się do tego przed sobą. Powiedział sobie: „rozkaz!“ Cóż, że w młodem sercu wzbierał żal, że szkoda było życia? Twarda żołnierska dola nauczyła go słuchać nakazów władz. Poprzedniego dnia otrzymał znów od niewiadomego „życzliwego przyjaciela“ świetną propozycję. Dawano mu wielką pieniężną nagrodę i całkowite bezpieczeństwo, jeżeli zgodzi się przejść w służbę nieprzyjacielską. W przeciwnym razie grozi mu śmierć, bo „wrogowie nie ustąpią“ — brzmiało ostrzeżenie. W umyśle porucznika wirowały szybko różne obrazy.

Pieniądze i spokój, ale zato hańba, taka hańba, że wstydziłby się uścisnąć rękę uczciwego człowieka. A jakżeby śmiał spojrzeć w oczy swym kolegom?

Z drugiej strony zaćmiewały mu wzrok szare, jakby kirem żałoby przesłonięte obrazy: wróg, walka, śmierć, a zdala, jak przez mgłę wabił go cichy spokój rodzinnego domu i czyjeś drogie oczy.

W duszy oficera toczyła się ciężka walka. Rywalizowała tam godność i honor z instynktem samozachowawczym, z miłością życia.

Ostrym sykiem gwizdnęła kula, a za nią druga i trzecia. Pilot podwoił szybkość. Nie widział nic koło siebie, wzrok miał utkwiony we wskazówki mechanicznego zegara, wskazującego zużycie benzyny.

Może wystarczy...

Byle prędzej, byle prędzej!

Znów kula przeleciała koło niego i utkwiła w srebrnym płacie skrzydła.

Tuż za sobą usłyszał warkot samolotu. Uczuł ból w piersiach. Na skórzanej bluzie lotnika ukazała się plama krwi.

Obcy samolot zrównał się z jego ukochanym „Orłem“. Zaczęła się walka. Młody lotnik był ze wszystkich stron otoczony wrogami. Posypały się strzały...

W blaskach słońca spadał na ziemię samolot. Spoczęły na czarnym gruncie szczątki srebrnego olbrzyma. A pod skórzaną kurtą pilota przestało bić żołnierskie serce, gdzie do końca życia paliła się gorąca miłość Ojczyzny, honor i godność osobista żołnierza. Honor oficera był uratowany.

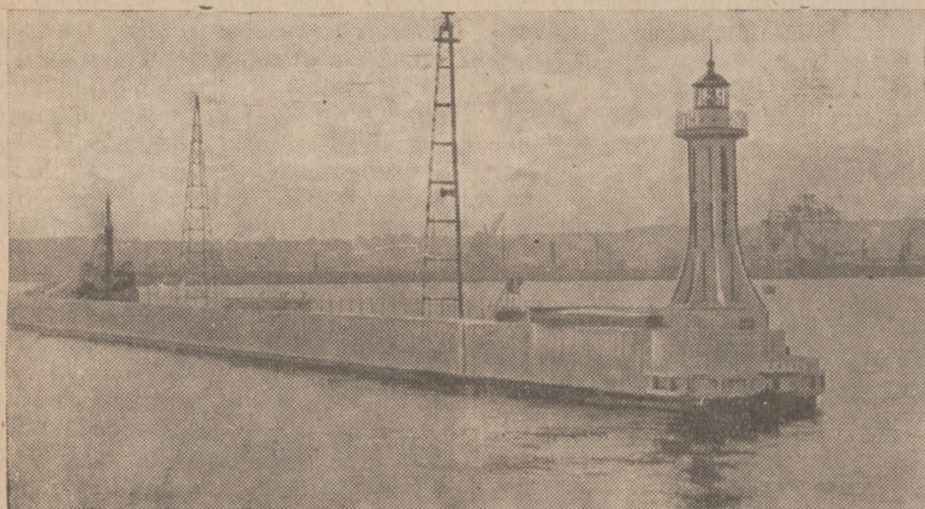
Z. B., G.P.J.S.

CZY PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO JUDYMÓW?

Jeśli ktoś odradza wysiłków ku dobremu, z tej tylko racji, że doskonałość jest utopją, strzeż się takiego człowieka — utopja, to jedno z najulubieńszych słówek złego ducha.

Judym — to uosobienie dobroci czynnej (bo nie zasadzającej się tylko na nieczynieniu źle). Ze wszystkich kategoryj ludzi najmniej bezwarunkowo jest ludzi dobrych. Ludzie zdolni, utalentowani, jednem słowem, ludzie obdarzeni cechami, które nam dała cywilizacja — są zjawiskiem powszechnem, codziennem. Te właśnie cechy zdobyły sobie szczególny szacunek wśród współczesnego społeczeństwa. Bardzo rzadko słyszymy, aby chwalono kogoś właśnie z powodu jego dobroci: owszem, ta pochwała może stanowić piękny dodatek ku ozdobie innych pochwał, ale samo przez się nie nadaje człowiekowi ani charakteru wybitnego, ani też tytułu do szczególnego uznania. Pochwałę tę otrzymuje się, że się tak wyrażę, gratis, bez sprawdzenia dowodów. Dobroć jest dzisiaj zbyt małej wagi, aby ważyć ściśle, czy dana osoba rzeczywiście ją posiada, czy też nie. Nie bez powodu zapewne dobroć z biegiem czasu wśród cnót zajęła tak poślednie miejsce; stała się zbyteczną w dzisiejszych czasach. Stała się zbyteczną w społeczeństwie, w którem umiejętna walka o byt jest uważana za największą cnotę. Ciągła walka z bliźnim; ciągle ten sam obraz: wszyscy przeciwko wszystkim; ta odwieczna walka, w której homo homini lupus. Niełatwo usunąć z życia nałogi i nawyknienia. Egoizm nie przestaje być główną pobudką w działaniu, a zdobywanie dóbr materjalnych ponad potrzebę — główną zaletą i najszlachetniejszym celem człowieka, chociaż niemniej potężną dźwignią jest współdziałanie, solidarność, miłość, dobroć.

Oto cechy Judymów, zwolenników postępu chrześcijańskiego (taką nazwą można ich obdarzyć). Wierzę, że możliwem jest zwycięstwo ducha i braterstwo ludzi na ziemi, że walka o byt nie jest jedyną koniecznością, że miłość bliźniego może zapanować wśród ludzkości. Te nowe pozorne prawdy od wieków powtarzają codziennie miljony ust, ale niema ich jeszcze w sercach. Judymowie — to reakcja przeciwko współczesnej cywilizacji materji. Kiedyż nareszcie „wyjdzie z zamętu świat du-



Falochron gdyński.

cha?“ Czytałem kiedyś, że ludzie z zasady nie są źli, ale doktryny materjalistyczne czynią ich takimi. Postęp materjalistyczny i postęp duchowy (chrześcijański) — pytają się teraz Judymowie, co może uszczęśliwić ludzkość, który z nich: aut, aut, tertium non datur. Nic pośredniego nie znajdują. Apelują do serc uczciwych, ale bez skutku, bo ich mało. Ile wieków, ile wysiłków będzie jeszcze potrzeba, aby tę zasadę chrześcijańską, w której tkwi jedyny i chyba ostateczny program społeczny, już nie urzeczywistnić, ale choćby zbliżyć do rzeczywistości. Musimy przyznać, że daleko jesteśmy od tego, aby rzeczywiste braterstwo zapanowało wśród ludzi, o ile zapanuje.

Ażeby jednak zbliżyć się do tego ideału jedynego, który może przyświecać myśli społecznej, trzeba zwrócić uwagę na jedno zaniedbane pole, na jedną zapomnianą cnotę — dobroć, tę prostą, szczerą dobroć, której określać nie mam potrzeby, bo każdy łatwo znajdzie to określenie. Ażeby mogło istnieć dobre społeczeństwo, trzeba koniecznie ludzi dobrych.

Dobre instytucje nie stworzą dobrych ludzi, a zatem szczęścia i pomyślności społecznej. Dużo się dzisiaj mówi o nauce społecznej, ale o tych postulatach to chyba najmniej. Nie każdy czyn dobry stanowi o tem, że pochodzi z głębi naszego serca, że jest objawem miłości bliźniego. Zaproponujcie komuś, aby poszedł do tych ciemnych, cuchnących nor, w której się tuli nędza, a przekonacie się, że to już przekracza granicę jego dobroci, że dobroć ta kończy się na tem, gdzie zaczyna się choćby najlżejsza ofiara z jego strony. Do tej granicy wszyscy jesteśmy dobrzy, do tej granicy więcej znalazłoby się Judymów. Dobroć rozumiana jako współczucie, bo nie wyraża się tylko w dawaniu i wspieraniu ubogich, odczuwanie cudzych stanów duszy i innych potrzeb, jako chęć czynienia im zadość sięga daleko głębiej.

Żadna filantropja publiczna, żadne ofiary pieniężne nie zastąpią dobroci serca, która stanowić winna podstawę wszystkich stosunków ludzkich. Spójrzmy wokoło! Wszędzie wre bezwzględna i zacięta walka o byt, stosunek surowy i niechętny, brak wszelkich względów dla uczuć, złośliwość — to główna treść wzajemnych sądów naszych, chęć wywyższenia się,, zwyciężenia współzawodnika — to nasze triumfy.

Czyż nie czujemy, że w społeczeństwie dotychczas większość ludzi przeżywa całe życie, nie poniósłszy najmniejszej ofiary, wyzyskując jedynie

wszystko i wszystkich dookoła siebie, wedle swoich sił?

Dziś właśnie zachodzi potrzeba poprawy, potrzeba obudzenia w sobie uczuć miłości i solidarności, potrzeba zrobienia ludzi dobrymi: „Miłość bliźniemu krzywdy nie wyrządzi..." — mówi św. Paweł. Dzisiaj tak jest urządzone życie, że nie można nie otrzeć się o łachmany i nie widzieć nędzy, twarzy wykrzywionej głodem, nie można niewidzieć tych objawów kultury materjalistycznej. Otóż zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób zbliżyć się do tych Judymów, do których należy przyszłość, w jaki sposób pomóc im w pracy, w jaki sposób rozwinąć uczucie dobroci, którego nie mamy w praktyce? Teorje i morały nie nauczą nigdy nikogo! Oto ich dewiza; z tej też przyczyny nie możemy wątpić o ich przyszłości, bo to są Judymowie czynu, a nie teorji i morału. To bohaterowie, gdyż składają wielką ofiarę z egoizmu ludzkiego. Wobec prawd powyższych, którym tylko zaślepienie stronnicze przeczyćby mogło, i wobec grozy położenia, w jakiem się znajdują dzisiejsze społeczeństwa, pytam wszystkich szlachetnych i bezstronnych ludzi: jestże pilniejsza potrzeba nad wpajanie w umysły idei chrześcijańskich: miłości i dobroci? Jestże większa zbrodnia względem szczęścia i postępu ludzkości nad szerzenie doktrym materjalistycznych? Idee i ofiary mogą jeszcze uratować naszą kulturę, tylko wiara w lepszą przyszłość może przyspieszyć przyszłość Judymów.

Marjan Hepner, G.P.H.S.

POŻAR.

Oślepiająca jasność rozdarła ciemność nocy. Potworne cielska chmur dymu, przesłaniając snopy iskier, wznosiły się w górę i ginęły gdzieś — hen... hen....

Ogień z żywiołową siłą darł się wciąż naprzód. Ogarniał coraz nowe domy, lizał je swemi ognistemi językami i dusił w piekielnych uściskach. Powstała burza darła całe dachy domów, przenosiła się na przyległe domy, wywracała budynki opanowane przez pożar i tak wspólnie z ogniem niosła straszliwy sztandar śmierci i zniszczenia. Przerażający krzyk nieszczęśliwych zbudził mnie z odrętwienia. Rżenie koni, ryk bydła, jęk ludzi, trzask walących się dachów, świst wiatru, wszystko to zlało się w jeden okropny zgiełk, który biegł w pola, uderzał o drzewa, budził resztę śpiącej ludności i ginął gdzieś w oddali. A z tego jednego zgiełku wyrywało się co chwila błagalne: „O Jezu, O Matko Najświętsza!"

W oddali rozległy się dzwonki i dźwięki trąbki pożarnej. Ciężkie wozy zadzwoniły na drodze i jak wicher pędziły w stronę pożaru. Pomoc była już zbyteczna, gdyż ogień zniszczył cały dobytek i wszystko, co się w nim znajdowało. Pozostały tylko porozrzucane po drodze jakieś liche sprzęty, niezdatne do użytku i strzępy przepalonej odzieży, nie przesiękniętej dymem.

Straszna to była noc.

Zziębnięta stałam bez ruchu i patrzyłam osłupiałym wzrokiem, jak szaleje ten demon zniszczenia. Nikt nie pilnował swych rzeczy, wyciąganych z płonącego domu i zabieranych przez obce ręce. Każdy był sobą zajęty.

. . . .

Tymczasem ogień dogorywał. Po godzinie nastała cisza i ciemność. Wszystko poszło z dymem. Ja z bratem pobiegłam na stację „Stradom" telefonować do ojca.

Przed nami posuwał się jakiś cień, lecz nie oczekiwaliśmy niczego gorszego, od tego co nas spotkało, więc biegliśmy szybko torem. Cień wzbudzał w nas pewien lęk, gdyż posuwał się z wielką szybkością, oddalając się od miejsca pożaru. Potykał się, upadał, wstawał i znów biegł dalej. Wreszcie, gdy minął go ostatni wóz strażacki, upadł na ziemię i wówczas zobaczyliśmy twarz tego tajemniczego człowieka. Był to nasz sąsiad, który niedawno sprzedał cały swój majątek. Miał okropny wyraz twarzy. Boso bez czapki z rozwichrzoną

czupryną biegł potykał się, aż wreszcie padł bez siły, zwalony ciężkiem brzemieniem własnego sumienia. Leżał pod mostem bezwładnie i patrzył szeroko rozwartemi i obłąkanemi oczyma na pożar — swe straszne dzieło. Serce jego płonęło w płomieniach wstydu i przerażenia.........

Był to straszliwy pożar duszy ludzkiej nękanej poczuciem dokonanej zbrodni. Pożar, w którego płomieniach człowiek ginie lulb też oczyszcza się, dążąc do odkupienia swej wielkiej przewiny............

H. Wrzaszczykówna, Szk. Handl.

WSPOMNIENIA Z KARNAWAŁU.

Pląsa Wodzirej Rok Nowy wesoło,
Zaś lud ciągłemi troskami znękany,
Choć kryzys, bieda dokucza wokoło,
Sunie z zapałem w tradycyjne tany.

I choć dziś nieszczęść, niepowodzeń czara
Ponad każdego ludu wisi głową,
Ludzkość znękana bawi się jak mara,
Tańcząc ochoczo — rumbę kryzysową.

Karnawał w pełni. Jak zawsze, tak teraz
Jaśnie Wielmożny Pan Rok Nowy wiedzie
Już w korowodzie, złorzeczące nieraz,
Rzesze tym ciężkim naszym czasom, biedzie.

Lecz bezcelowo wszyscy narzekamy
I jedni drugich wciąż o to pytamy:
„Kiedyż, ach kiedyż i raz jeszcze kiedy
W Polsce przestanie istnieć tyle biedy".

Młodzież ma teraz rozkosze doczesne,
Takie niestałe, tak krótko trwające,
Czasem przyjemne, niekiedy bolesne,
Ale od pracy zawsze odwodzące.

„Wieczorki szkolne!" Niech huczy zabawa,
Ochocza młodzież w takt tańca miarowy,
Humor rozsiewa, gdzieś ginie „obawa",
Bo z więzów nauki są zwolnione głowy.

Czyliż jest szkoła w Ojczyźnie nam drogiej,
Gdzie proletarjat sztubaków waleczny
Nie wywalczyłby u Dyrekcji srogiej
Szkolny wieczorek — do życia konieczny?

Lecz wszystko mija. Więc minął karnawał,
W stały tryb życia uczniowie weszli
I znów, jak zawsze: czeka pracy nawał
Po zabaw drodze, przez którąśmy przeszli.

Edward Ciszewski Szkoła Handl.

PÓŁROCZE.

„Wszyscy narzekają na kryzys, tylko my kryzysu dwójkowego nigdy nie cierpimy" — rzekła Basia wycierając oczy w szatni. „Trzy dwóje stanowią ozdobę świadectwa; jak pokazać je w domu" — jęczała biedna, ubierając się powoli i popłakując z cicha. Nię zauwałyża nawet, że na prawą nogę włożyła śniegowiec z lewej i przeciwnie. „Pokaż się"— krzyknęła Jadzia, zobaczywszy pomyłkę. Mimo smętnego nastroju dziewczęta nie mogły powstrzymać śmiechu i przez chwilę w szatni rozbrzmiawały wesołe uwagi na temat roztargnienia Basi.

„Dajcie spokój" — broniła się — „wcale nie mam humoru dzisiaj". „Ty masz trzy dwóje i robisz tragedje, a cóż ja mam począć z memi sześcioma?" — wtrąciła Izia. „Rzeczywiście sypią się one, jak z rogu obfitości, na nie zawsze jest urodzaj, rosną nawet tam, gdzie ich się nie sieje" — filozofowała Marysia.

„Moje drogie — pouczała Gienia — gdybyście się uczyły solidnie, to napewno nie byłoby teraz płaczu i zgrzytania zębami, same jesteście sobie winne".

„Co! ja się nie uczę — zaperzyła się Basia — wkuwam się całemi dniami, a trzy dwóje sterczą, jak drut". „Wychodźcie z szatni" — krzyknęła wpadając Marysia — „pani Dyrektorka idzie". Jak pod dotknięciem czarodziejskiej różeczki, wszystkie złapały teczki i jak gromadka płochliwych sarenek wybiegły na dziedziniec.

Tutaj zwolniły kroku, a przez ulice szły wolno i względnie cicho, niosąc w teczkach świadectwa ,które przeważnie nie dawały powodów do radości. Zwykle wesoła Basia kroczyła dzisiaj poważna i głęboko zamyślona, gdyż gnębiły ją te trzy dwójki. „Co zrobić z tym fantem — kombinowała — z matematyki i fizyki wkrótce się poprawię, bo ostatnio już dobrze odpowiadałam, ale co zrobić z niemieckim? Trzeba się jeszcze

więcej uczyć" — wywnioskowała. „Czego się martwisz" — rzekła zbliżając się do niej Zosia. „Widzisz Zosienko, nie wiem jak powiedzieć w domu, że mam aż trzy dwójki". „Powiedz, że masz sześć, więc gdy zobaczą rodzice trzy, to nietylko nie zmartwią się, lecz będą zadowoleni, że nie masz sześciu; albo zostaw świadectwo na stole i wyjdź z domu, a gdy wrócisz pierwszy gniew rodziców minie i prędzej będziesz mogła usprawiedliwić się". „Ty jesteś bajeczna z twemi radami" — rzekła Basia — „wątpię jednak, czy to będzie możliwe do wykonania".

Jak i kiedy przyszła do domu i zjadła obiad — nie wiedziała, gdyż myślała o nieszczęśliwych dwójkach. Gdy znalazła się sama, przeglądając świadectwo, zatrzymała się przy ocenie z łaciny. „Mam trójkę, tego się nie spodziewałam, jaka ona dobra" — myślała z wdzięcznością o nauczycielce. Basia łaciny uczyła się, lecz nie tak, jak powinna, otrzymana trójka stała się bodźcem do większej pracy, gdyż nie chciała ona, by nauczycielka żałowała danego jej stopnia. Teraz postanowiła nauczyć się porządnie łaciny na jutro i pokazać, że na trójkę zasługuje. Nagle rozległo się pukanie i do pokoju weszła Dziuchna z łyżwami, wołając od progu: „Baśka ubieraj się, idziemy na lód". Basia, ujrzawszy łyżwy, rozpromieniła się. „No: czego stoisz — szkoda czasu" nalegała przybyła.

Basia nie wiedziała, co zrobić. Łyżwy brzęczały i błyszczały kusząco, czapka i szalik wabiły do siebie i już, już właścicielka sięgała po nie, gdy oczy jej padły na świadectwo i radość znikła z oblicza dziewczątka. Trzy dwójki, jak sępy wdzierały się w jej oczy, a trójka z łaciny poruszała ambicję. Wtem wpadła Izia, a widząc wahającą się Basię poczęła nalegać. „Chodź Basiu—mówiła—będzie Kazik, Jurek i Waldek". Basia spojrzała na koleżanki i ujrzała się w wesołej gromadce na lodzie. „Ślicznie dziś wyglądasz, chodź, Kazik już szedł i pytał się o ciebie" — mówiła Izia i pewna zwycięstwa podała jej czapkę. „Iść — czy nie iść" — wirowało w główce Basi. Spojrzała na trójkę z łaciny. „Idźcie same" — powiedziała — „dziś nie pójdę, bo mam na jutro łacinę". „No, a Kazik, — wtrąciło Izia (wiedziała co jest piętą Achillesa koleżanki). „Będzie jeździł z Dziuchną albo z Zosią, a ty z Jurkiem i Waldym" — odrzekła Basia. Widząc, że koleżanki nie namówią, Dziuchna i Izia pożegnały Basię.

W godzinę później wesoła czwórka, holendrując wspomniała Basię, która tymczasem uczyła się słówek łacińskich.

T. Staniosówna, G.P.J.S.

DZIEŃ LENIUCHA.

Godzina dziesiąta rano. Zdecydowanie przewracam się na drugi bok i zasypiam powtórnie, mając to głębokie przeświadczenie, że jeszcze całe dwie godziny dzielą mnie od pójścia do biura.

Gorzej było, gdy już drugi raz wyrwałem się z pieszczotliwych ramion Morfeusza i z przerażeniem skonstantowałem, że jeszcze pozostało mi zaledwie pół godziny, a więc najwyższy czas, ażeby wstać. Teraz rozpoczynała się najuciążliwsza praca. Stosunkowo dość łatwo przyszło mi podnieść się i usiąść na łóżku, ale zato o wiele gorzej było z mojemi nogami, które w żaden sposób nie chciały wysunąć się z pod ciepłej pierzynki. Nawet czynione przeze mnie w tym kierunku mozolne usiłowania nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Wreszcie jedna z nich, nie przypominam sobie dokładnie, która to była, lecz zdaje mi się, że prawa, zdecydowała się na krok stanowczy i szybko wysunęła się, lecz jeszcze prędzej wsunęła się z powrotem. Po chwili zdecydowała się tę próbę jeszcze raz powtórzyć i tym razem dzielnie wytrwała na stanowisku, świecąc zarazem przykładem drugiej nodze, która niebawem podążyła w jej ślady. Teraz musiałem się jak najszybciej ubrać, gdyż pozostało mi jeszcze piętnaście minut. Nie umyłem się nawet,

wiedząc dobrze, że po źle przespanej nocy można się łatwo nabawić kataru i szybko wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. Teraz należało się udać na śniadanie do restauracji pod „Latająca rybką". Chwilę zastanawiałem się, czy zdążę jeszcze zjeść, lecz przypuszczałem, że zdołam się jeszcze wytłómaczyć przed szefem.

Nad drzwiami wisiał ogromny szyld z napisami, począwszy od śniadań i obiadów, a skończywszy na obfitym wyborze trunków. To ostatnie zwłaszcza zachęciło mnie do wstąpienia. Nad bufetem wisiał ogromny zegar, który wskazywał już, o zgrozo! pięć minut do dwunastej i który swem miarowem tykaniem działał tak usypiająco, że mimowoli ziewnąłem tak przeraźliwie, że zbudziłem drzemiącego, prawdopodobnie również z tego powodu kelnera, który natychmiast zaofiarował mi swe usługi. Niebawem obfite śniadanie stanęło na stoliku i z zadowoleniem zabrałem się do konsumowania. Cóż, kiedy właśnie w tej chwili zegar wybił dwunastą. Postanowiłem udzielić sobie jeszcze dziesięć minut i może wszystko skończyłoby się dobrze, lecz właśnie w chwili, gdy powstawałem, aby opuścić te gościnne progi, podszedł do mnie kelner i żywo zaczął zachwalać wyborne, świeżo sprowadzone wino z takim zapałem, że w końcu mu uwierzyłem. Nie oparłem się pokusie i udzieliwszy sobie uprzednio pozwolenia nieodwołalnie na ostatni kwadransik, musiałem przyznać, że wino było istotnie świetne. I już miałem zamiar wyjść, gdy nieubłagany zegar wybił następne pół godziny. Wobec takiego stanu rzeczy postanowiłem jeszcze pozostać, gdyż po poprzednich trzech spóźnieniach nie odważyłbym się w tej porze stawić się przed marsowe oblicze szefa.

Pod wpływem niewątpliwie elokwentnego kelnera postanowiłem zjeść jednocześnie obiad, zwłaszcza, że już zbliżała się odpowiednia pora. Po obiedzie chyłkiem przekradłem się do domu, w obawie, ażeby nie być przez nikogo zauważonym i postanowiłem uciąć sobie popołudniową drzemkę. Nie chcąc tracić czasu na rozbieraniu, położyłem się na kanapę w ubraniu i niebawem zasnąłem snem sprawiedliwego. Po przebudzeniu się o godzinie dziesiętej wieczorem, w czem dopatrywałem się wpływu rzeczywiście dobrego wina, przekonałem się, że kelner bynajmniej nie przesadzał.

Mieczysław Pinkus, G.P.H.S.

ORGANIZACJA PRACY.

Utarło się zagranicą zdanie że Polacy mogą dobrze pracować ale nie umieją. Dlaczego? Brak im tego, czego człowiekowi potrzeba najbardziej: podziału i dobrej organizacji zajęć. Często każdy z nas mówi sobie, że mógłby dużo zrobić, gdyby tylko miał czas.

Czy powiedzenie to jest słuszne? Nie, bo człowiek zawsze może sobie czas znaleźć, jeżeli podzieli sobie odpowiednio zajęcia.

Ileż to czasu traci się przez powolne tempo działania, przez stosowanie nieodpowiednich metod, przez nieuwagę lub przez brak wytycznych, według których chce się coś wykonać. Za przykład niesystematycznej i niezorganizowanej pracy służyć nam mogą, co z bólem serca stwierdzić należy, nasze własne, uczniowskie organizacje. Zakreślamy sobie z całym młodzieńczym zapałem olbrzymie, mogące nasze życie szkolne pchnąć na nowe tory, programy — no i oczywiście nigdy ich nie realizujemy, chociaż jesteśmy w możności to zrobić. Przez cały rok nic się nie robi, a dopiero pod koniec, gdy nad zarządem wisi, jak się to mówi, miecz Damoklesa, wykonuje się w 2 lub 3 dniach wszystko to, co miało być wykonywane systematycznie w ciągu całego roku. Jak ta praca została wykona, mówić nie będę, bo wszyscy sobie doskonale z tego sprawę zdają.

Nie dziwny się więc, że organizacja, w której praca idzie takim trybem, nie wykazuje swej żywotności, lecz jest skazana na zagładę lub powolną wegetację. Nie dziwmy się, dlaczego robią

nam zarzuty, że nie jesteśmy przygotowani po opuszczeniu szkoły, do pracy społecznej.

Taki stan rzeczy panuje jednak nietylko w organizacjach młodzieży, ale także wśród starszego społeczeństwa. Wadliwe funkcjonowanie nstytucyj społecznych jest chorobą wielu państw, ale specjalnie dla nas Polaków jest, można powiedzieć, „chorobą narodową“.

Dlatego też państwo nasze, rozumiejąc, jak doniosłe znaczenie ma w życiu społecznem organizacja pracy, powołało do życia „Instytut Naukowej Organizacji Pracy“ z siedzibą w Warszawie.

Jaki jest cel i zasady takiego Instytutu?

Dr. inż. J. Studniarski, profesor Akademji Górniczej w Krakowie, tak je określa.

Cel „Organizacji“: Celem „Organizacji „jest osiągnięcie najwyższego wyniku użytecznego przy najmniejszym nakładzie pracy i środków wytwórczych. Podstawa: Podstawą jest przedewszystkiem usunięcie wszelkiego marnotrawstwa. Ani jeden stracony grosz, ani jedna stracona minuta!

Zasady: 1) Zbadaj i zastanów się nad tem, co chcesz wykonać. 2) Ułóż rozkład zajęć. 3) Wykonaj je podług rozkładu. 4)Sprawdź wykonanie z rozkładem. 5) Nie trać czasu. 6) Pracuj z silną wolą i uczciwie. 7) Poddaj się dyscyplinie i porządkom organizacji. 8) Staraj się, aby praca twoja była wydajną.

Oto credo dla organizacji, każdego jej członka, a nawet dla każdej pracującej samodzielnie jednostki. Chodzi tylko o to, aby te wskazówki nie były wypisane w statucie, ale aby tkwiły w duszy każdego człowieka i aby je praktycznie zastosował. Weźmy się więc do rewizji prac w naszych szkolnych kołach, uregulujmy je według podanych wskazówek, a napewno nasi sąsiedzi europejscy nie będą mogli nam nic zarzucić.

My, młodzież, powinniśmy się energicznie wziąć do pracy i pokazać, jak pracować należy, aby zadać kłam wszystkim, tym, którzy mówią o inercji i zblazowaniu młodzieży.

Pokażmy, że mamy zapał i siły i że umiemy nasze ideje w czyn wprowadzić.

K. Prażmowski, G.P.H.S.

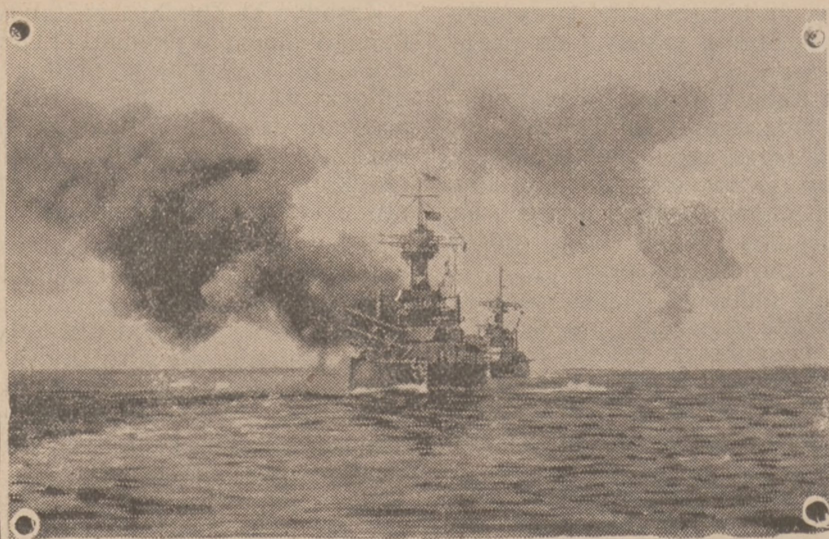
DZIAŁ EKONOMICZNY.

Rozwój mocarstwowy Polski a dostęp do morza.

Dla przyszłej potęgi ekonomicznej naszego kraju konieczną rzeczą jest rozwój własnego przemysłu, co łączy się ściśle z wybrzeżem morza, z dostępem do niego. Towary bowiem wyprodukowane w fabrykach krajowych powinniśmy za pomocą własnych, o ile możności, okrętów rozwozić do najdalszych zakątków świata, szukając jednocześnie rynków zbytu.

Kraj nasz, wkraczając na drogę uprzemysłowienia miast, musi nie zapominać w związku z tem o zabezpieczeniu i możliwości utrzymania naszego wybrzeża Bałtyku. Bowiem nietylko utrata wybrzeża, ale sama już groźba czegoś podobnego może wpłynąć hamująco na rozwój naszego przemysłu i handlu. Powinniśmy starać się o uzyskanie pewności, że nigdy i pod żadnym pozorem nie stracimy nic z tego, co zdobyliśmy dzięki klęsce Niemiec. Aby tę pewność osiągnąć, powinniśmy dążyć do rozwoju czynników duchowych i materjalnych, łączących Pomorze z resztą kraju i dbać o rozwój dróg komunikacyjnych, kierujących się w stronę polskiego wybrzeża, jednocześnie dbać o rozwój samego wybrzeża, portów i własnego rybołóstwa, gdyż jest nienaturalny roczny przywóz śledzi za sumę 60 miljonów zł.

A świadkiem do uzyskania pewności rozwoju — jest mądra i planowa obrona dostępu do morza. Przewidywać musimy możliwość wtargnięcia na Pomorze wojsk nieprzyjacielskich i zniszczenie naszego wybrzeża. Powinniśmy być do tego przygotowani, i terytorjum Po-



morza przemienić w twierdzę, a niewielki ten obszar nie wymaga nadzwyczajnych nakładów.

Kraj, który chce uniknąć zniszczenia swego terytorjum w czasie wojny — musi myśleć i przeniesieniu walk na ziemie nieprzyjaciela.

Centralne zaś położenie Polski w stosunku do niemieckiego Śląska Pomorza i Prus Wschodnich, pozwala na wybór dogodnego kierunku operacyj; dla wykorzystania jednak naszego położenia trzeba posiadać przedewszystkiem doskonale funkcjonującą sieć kolei strategicznych, których stosunek do Niemiec jest obecnie taki, że gdy Niemcy mają 58 torów, prowadzących do granicy to Polska — zaledwie 7.

Właściwym czynnikiem mogącym decydować o naszej zdolności bojowej, musi być polska marynarka wojenna, której stan obecny jest w zupełnej dysproporcji do znaczenia, jakie posiada Polska wśród państw nadbałtyckich.

I tak kiedy niemiecka marynarka wojenna liczy 156 tysięcy tonn, to nasza zaledwie — 5,899 tonn. Powodem ubóstwa naszej marynarki wojennej jest zbyt mały fundusz, przeznaczany corocznie na jej cele. Zamiast 39 milj. zł. powinno być przeznaczone najmniej 150 milj. zł. rocznie.

Cała historja, począwszy od Persów, a skończymy na Japonji i ostatniej wojnie powszechnej, dostarcza nam dowodów, stwierdzających, że tylko to państwo, w którem istnieje zrozumienie spraw morskich, które zdobyło przewagę na morzu, może wzrastać w potęgę i przechylać szalę zwycięstwa w walce o byt na swoją stronę.

A więc kupiectwo i przemysł frontem do morza! Długie zaniedbywanie spraw morza w Odrodzonej Polsce ustąpić musi miejsca mądremu programowi morskiemu 31 miljonowego Narodu i Państwa — kraju o największej prawie emigracji zarobkowej w Europie — kraju o bardzo znacznym imporcie surowca bawełnianego i żelaznego — Polski, która, nie licząc Rosji Sowieckiej, jest co do obszaru 5-tem największem państwem kontynentu europejskiego i posiada obiecujące perspektywy dynamicznego rozwoju eksportu przetworów swego gospodarstwa rolnego.

Bowiem nigdy, jak daleko w przyszłość spojrzeć można, nie zbraknie zdrowych podstaw do racjonalnej i szerokiej współpracy i współżycia Gdyni i Gdańska. Jest to pewnik, słuszność którego potwierdza chociażby dotychczasowa dynamika morskiego handlu zagranicznego Polski. Konieczność gospodarcza wolnego portu gdańskiego i Wolnego Miasta dla polskiego znaczenia i pol-

skiego organizmu gospodarczego przez fakt budowy Gdyni nawet jeszcze dosadniej potwierdzona została.

Chęć tedy pracy Polski na morzu jest jeno przejawem woli twórczego jej bytowania w wielkiej rodzinie narodów.

Jednocześnie społeczeństwo polskie musi zrozumieć, że jak człowiek z nożem wbitym w plecy żyć nie może, tak samo Polska nie może istnieć, mając za sobą niemiecką fortecę Prus Wschod.

Polacy rozsiani po całym świecie, mogą być podwaliną Polski zamorskiej. Dla osiągnięcia jednak potęgi Polski musimy się wzmocnić wewnętrznie, ucywilizować, zjednoczyć duchowo i materjalnie i stać się zwartym i karnym narodem, którego przyszłość leży na morzu, nad Bałtykiem, który przez stworzenie potęgi morskiej i przez rozwój własnego przemysłu i handlu — może stać się mocarstwem, którego wola wpływać będzie na losy świata.

Edward Olszewski,, Szkoła Handlowa.

W-LKA O ATLANTYK.

Od historycznego lotu Bleriota poprzez kanał La Manche upłynęło dwadzieścia trzy lata. Wtedy już po raz pierwszy odczuła ludzkość, jak ważną rolę w jej życiu odgrywać będzie lotnictwo. Obecnie jesteśmy częściowo panami czasu i przestrzeni, lecz w tej trwającej od tysiącleci walce z potęgami przyrody, w owem gigantycznem mocowaniu się człowieczeństwa, często jednostki oddawały swe życie dla dobra ludzkości. Ostatnio zapragnęliśmy zawładnąć powietrznym szlakiem trans-atlantyckim. Zawrzała niebywała w historji lotnictwa walka gigantów, ruszyli zwartym szeregiem bohaterowie, zespoliły się w jednem dążeniu prometejskie jednostki wszystkich narodów i podjęły bój, z którego postanowili wrócić tylko zwycięzcami lub zginąć jako niezkazitelni rycerze.

Pędzeni pomyślnym wiatrem zjawili się na Starej Ziemi europejskiej powietrzni bojownicy z amerykańskiego lądu, zdobywając w ten sposób połowę zwycięstwa i stając się już częściowo panami Atlantyku. W przeciwnym kierunku przelot okazuje się znacznie trudniejszym, a krwawy ślad licznych ofiar znaczy drogę zastępu powietrznych rywali. Dnia 8 maja 1927 roku wystartowali z Le Bourget do lotu trans-atlantyckiego, w kierunku ze wschodu na zachód Nungesser i Coll. Już następnego dnia nadeszła do Paryża fałszywa fiadomość jakoby „Biały Ptak“ Coli'ego wylądował szczęśliwie w N. Jorku. Paryż szalał z radości, niestety jednak— przedwcześnie. Wkrótce bowiem stwierdzono pomyłkę, poczem nastąpiły długie oczekiwania, aż wreszcie stało się pewnem, że fale oceanu pochłonęły śmiałków.

Minął rok 1927 na ciągłych niepowodzeniach. Atlantyk nie wydał swej tajemnicy — trwał niezwyciężony, lecz niezwyciężoną jest ludzka chęć dotarcia niebotycznego celu. Rok 1928 przynosi nowe próby zawadnięcia trans-atlantyckim



Trzy pokolenia Bleriotów „w powietrzu“. Dziad, gorący zwolennik awjatyki, syn, który przeleciał pierwszy kanał La Manche i wnuk, przygotywający się do lotu nad Atlantykiem.

szlakiem, a bezmiar wód oceanu pochłania znowu Hinchcliffe'a i towarzyszkę jego pannę Elsie Mackay, którzy 13 marca wylecieli z Anglji, kierując się ku N. Szkocji.

Następny lot, szczególnie bolesny dla Polaka, to druga z kolei próba Idzikowskiego i Kubali. Każdy Polak napewno śledził z gazet wówczas lot naszych śmiałków. Jednak defekt motoru jednego z nich usuwa z tego świata, a w wielkiej księdze bohaterów ludzkości złotemi zgłoskami wypisano jego imię: „Idzikowski“.

Wspominając pokrótce historyczny szkic walki z Atlantykiem mimowoli nasuwa się nam pytanie, czy loty te będą miały kiedy jakieś znaczenie praktyczne. Otóż pod względem ekonomicznym podobne imprezy są zupełnie niekorzystne, gdyż koszta ich są nieproporcjonalnie wysokie. Niemniej jednak próby lotów transoceanicznych są o tyle ważne, że bez przerwy zwracają uwagę konstruktorów na aktualny problem stałej komunikacji lotniczej pomiędzy Ameryką a Europą.

Eug. Stankiewicz, Gm. Zw.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

LEŚNE WESELE.

To las, to las, zielony las,
To jego słychać szum,
Czy pójdzie w głębie któreś z was?
Pytanie drzew słyszymy.

Tu ptasząt leśne kapele,
Tam muszek znowu chóry,
Dzięcioł idzie na wesele,
Urządzone przez bory.

Tam ptaszki wnoszą potrawy
Orzeszki dla wiewiórek,
Naokoło różne strawy,
Kto chce, dostanie żurek.

Odchodzi leśna kapela,
Rozchodzą się i muszki,
Odchodzą goście z wesela
Trzymając się za brzuszki.

Ruta Weinbaumówna, G.P.J.S.

—)x(—

Opowiadanie starej książki.

Wyszłam z drukarni i udałam się do prasowni. Stamtąd ukazałam się nowiusieńka i czysta. Byłam bardzo dumna, gdy mnie umieszczono na wystawie między innemi grubemi i cieńkiemi książkami. Zdawało mi się, jestem najładniejsza. Kupił mnie uczeń w niebieskiej czapce. Po zszarzałym lecz czystym mundurku poznałam, że się dostałam w dobre ręce. Zawsze byłam czysta i nie było na mnie żadnej plamki. Gdy cały rok przeszedł i uczeń dostał promocję do następnej klasy, już mu nie byłam potrzebna i przyszedł do niego jakiś inny chłopiec. Po czapce pogniecionej i mundurku poplamionym widać było, że należał do pierwszych z tych ostatnich. Uczeń, który mnie sprzedał, popatrzył na mnie smutnie, a w jego duszy odbiła się cała przeszłość, spędzona ze mną. Uczeń drugi, zwinął mnie i wepchnął do kieszeni.

Nadeszły teraz ciężkie czasy. Byłam cała poplamiona i kartki były moje porozrywane, a gdy ten rok przeszedł, trudno mnie było poznać, taka byłam podarta i zeszpecona. Właściciel mój z trudem otrzymał promocję i gdy już mu byłam niepotrzebna, rzucił mnie w kąt, ponieważ już nie mógł mnie sprzedać. Gdy konałam w tym ciemnym kącie, we wilgoci, nasuwały mi się obrazy z mej przeszłości u tego ucznia, który miał czapkę niebieską i duże czarne, smutne oczy.

Marjan Pałęga, G.P.T.

Równowaga w przyrodzie.

Streszczenie odczytu wysłuchanego przez radjo.

Równowaga w przyrodzie jest oparta na zjawiskach czysto naturalnych, nie zmienianych przez człowieka, mającego wielki wpływ na kierunek owych zjawisk.

Równowaga polega na tem, że w pewnej określonej przestrzeni znajduje się pewna określona ilość istot i roślin. Bierzemy pod uwagę 1 m^3 przestrzeni w ten sposób, że $^1/_2$ m^3 jest to ziemia i jej składniki, a druga $^1/_2$ m^3 znajduje się nad ziemią t. zn.: powietrze, ciepło, światło i inne części. Ten metr sześcienny przestrzeni posiada pewną, ściśle określoną ilość składników. Oczywiście, że składniki owe i ich ilość będzie inna na innem miejscu. W tej przestrze-

ni żyje także określona ilość istot, związanych z szatą roślinną, która zależy od budowy geologicznej gleby. To samo dzieje się z istotami żyjącemi w części nadziemnej.

Jeżeli jeden składnik z budowy podłoża zmienimy, naprzykład dodamy soli do gleby, wtedy rośliny nie mogące żyć na takiem podłożu ustąpią, wraz z niemi zwierzęta odżywiające się temi roślinami, a przybędą rośliny i zwierzęta z nad brzegów morza, gdzie gleba jest z domieszką soli, lecz będzie równowaga w składzie jakościowym i ilościowych. Takie same zjawisko zajdzie, gdy dodamy lub odbierzemy część wody z gleby. Weźmy określoną przestrzeń gleby piaszczystej, mającej ubogą szatę roślinną, lecz po dodaniu nawozu do niej roślinność wzbogaci się. W pierwszym wypadku było mało roślin na tej przestrzeni i była równowaga, bo roślin jest tyle, ile ziemia (gleba) zdoła wyżywić. W drugim zaś — więcej, bo gleba była bogatsza. Równowaga w przyrodzie istnieje w każdej jej gałęzi, a także w świecie zwierzęcym.

Jak już wspomniałem zwierzęta roślino- i mięsożerne są zależne od roślin, a ilość roślin jest określona, więc siłą rzeczy ilość zwierząt jest także oznaczona. W przyrodzie wszystko jest związane łańcuchem zależności.

Równowaga w przyrodzie ogranicza rozmnażanie się pewnych gatunków roślin, zwierząt i innych istot, lecz przez wydanie tego prawa ograniczenia, przyroda musi walczyć z pewnymi „osobnikami" jak naprzykład: polnemi myszami, makiem, różnemi drzewami i innymi.

Gdyby mak miał idealne warunki rozwoju, to przez kilka lat mielibyśmy taką jego ilość, że możnaby zasypać nim całą Europę, a z tego pola makowego byłoby widać tylko górne części najwyższych budowli. Polne myszy także rozmnażają się bardzo szybko, lecz w tem przeszkadza im lis, który tępi je. Lisa możnaby nazwać, wbrew mniemaniu myśliwych, ich dobrodziejem, pilnującym zdrowego, naturalnego rozwoju zwierzyny łowieckiej, z pośród której tępi tylko osobniki słabe, będące siedzibą wszelkich chorób. Chore zwierzęta nie rozmnażają się tak, jak zdrowe, t. zn. nie wydają wcale płodu lub powiększają swoją liczbę. Oprócz lisa stoją na straży równowagi w przyrodzie także owady, mające pod opieką rozmnażanie się drzew. Natura pozwala tylko z niektórych nasion wykiełkować rośliny przez stworzenie im złych warunków.

Człowiek jest tym czynnikiem, który wypacza równowagę w przyrodzie przez pomaganie masowemu rozmnażaniu się jednego z gatunków roślin lub zwierząt, lecz im wysiłek człowieka w tym kierunku jest większy, tem musi więcej walczyć z przyrodą, która dążąc do równowagi przeszkadza człowiekowi, niszcząc częściowo jego plony. W przyrodzie istnieje ciągle przemiana materji i wymiana pierwiastków, lecz mimo tego jest stale równowaga tylko do przyjścia do tego czysto naturalnego miejsca.

Kazimierz Śmieciński G. P. H. S.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Od Redakcji.

W związku z tem, że w połowie marca rozpoczynają się już ferje świąteczne, a chcielibyśmy wydać przedtem jeszcze jeden numer „Świata Szkolnego", wobec tego prosimy o nadsyłanie prac najpóźniej do dnia 5 marca b. r.

W numerze tym ze względów technicznych nie mogliśmy zamieścić całego szeregu prac, zakwalifikowanych do druku — ukażą się one dopiero w przyszłym miesiącu.

Z tych samych powodów zmuszeni byliśmy do skrócenia niektórych artykułów, za co przepraszamy ich autorów.

— Koło Pracy Społecznej przy G.P.T.

W początkach stycznia b. r. zawiązało się w II Gimn. Państw. pod opieką p. Dyr. D. Zbierskiego Koło Pracy Społecznej im. Marsz. Piłsudskiego. Koło liczy około 70 członków z najwyższych dwóch klas (VII i VIII) gimnazjum.

W skład Zarządu weszli: kol. Basiński, jako przewodniczący, kol. Rutkowski — wiceprzewodniczący i kol. Strzelecki — sekretarz.

Zadaniem Koła jest odpowiednie oświetlania przez referaty i dyskusje współczesnych nam zagadnień natury społecznej i gospodarczej ze stanowiska dobra państwa. Ponieważ zaś te ideały państwowo-twórcze znalazły najdobitniejszą realizację w działalności Marsz. J. Piłsudskiego, przeto Jego obrano za patrona. Na skutek aktualności poruszanych tematów praca w Kole cieszy się niezwykłem ożywieniem i zainteresowaniem, czego dowodem być może cały szereg zgłoszonych już na przyszłość referatów.

— „Przedstawienie w teatrze marjonetek w gimn. J. Słowackiego".

Dnia 29 stycznia r. b. odbyło się drugie przedstawienie teatru marjonetek, urządzone tym razem również przez klasę piątą.

Przedstawienie szopki p. t.: „Wesołą nowinę bracia słuchajcie" składało się z szeregu obrazów. Barwne i pomysłowo ubrane lalki poruszane były tak zrecznie, że sprawiały wrażenie żywych osób.

Bardzo wdzięcznie wypadł krakowiak oraz inscenizacje polskich ludowych piosenek, jak np.: „Macieju, Macieju, co ty tam wieziesz?", „Umarł Maciek, umarł..." i in.

Ze wszystkich obrazów najlepiej może udały się sceny, w których występował Herod, Herodowa, djabeł i śmierć.

P. Miziukowa zajęła się wyreżyserowaniem szopki, uczenice zaś włożyły w przygotowanie jej dużo pracy i zapału.

Na przedstawienie przybyli także nasi młodsi braciszkowie i siostrzyczki, którym wesołe widowisko ogromnie się podobało.

H. — O.

— Wieczorek w Gimn. Zw.

W salach Gimnazjum Związkowego odbył się dn. 30 stycznia r. b. wieczorek taneczny, urządzony przez klasę VII tegoż gimnazjum.

Wodzireje: p. prof. Pietrzak, kol. W. Jakubowski oraz kol. Jung, prowadzili z werwą zabawę. Nadzwyczaj miły nastrój wieczorku, suto zaopatrzony bufet, dobra orkiestra, oraz „niespodzianki", wszystko to sprawiło, że młodzież bawiła się doskonale.

Trzeba zaznaczyć, że zarówno organizatorzy, jak i wodzireje starali się usilnie o to, aby wszyscy uczestnicy bawili się jednakowo dobrze.

H. — O.

— Choinka w Szkole Handlowej.

Staraniem Koła Rozrywkowego przy Szkole Handlowej Stow. Kupców Polsk. w dniu 16 stycznia b. r. została urządzona w lokalu własnym „Choinka" z tańcami dla młodzieży tejże szkoły.

Tego dnia od godz. 5-ej po poł. zebrana licznie młodzież bawiła się ochoczo przy dźwiękach doskonałej orkiestry.

„Choinka" przyjęła charakter wieczoru tanecznego: w pomysłowo udekorowanej sali, oświetlonej tęczą kolorowych świateł, wodzirej, kol. Komarnicki, prowadził z werwą tańce, zarówno dawne „staropolskie", jak i modne, pomimo iż w sali panował wielki tłok. Około godz. 11-ej rozbawiona młodzież, zebrawszy się przed efektownie przystrojonem drzewkiem choinkowem „symbolem" zabawy, odśpiewała żywo kilkanaście kolend, poczem sunęła dalej w tany, które przeciągnęły się do godziny 12,30 w nocy i to tylko dzięki „nieposłusznej" orkiestrze, grającej przeciętnie jeden utwór przez godzinę czasu.

„Choinka" ta pozostawiła zadowolonym uczestnikom beztroskiej zabawy miłe, niezatarte po dziś dzień wspomnienia.

E. C.

— Z Samopomocy Uczniowskiej G. P. H. S.

W dniu 7 lutego r. b. Rada Przedstawicieli klasowych dokonała wyboru nowego Zarządu, do którego weszli koledzy:

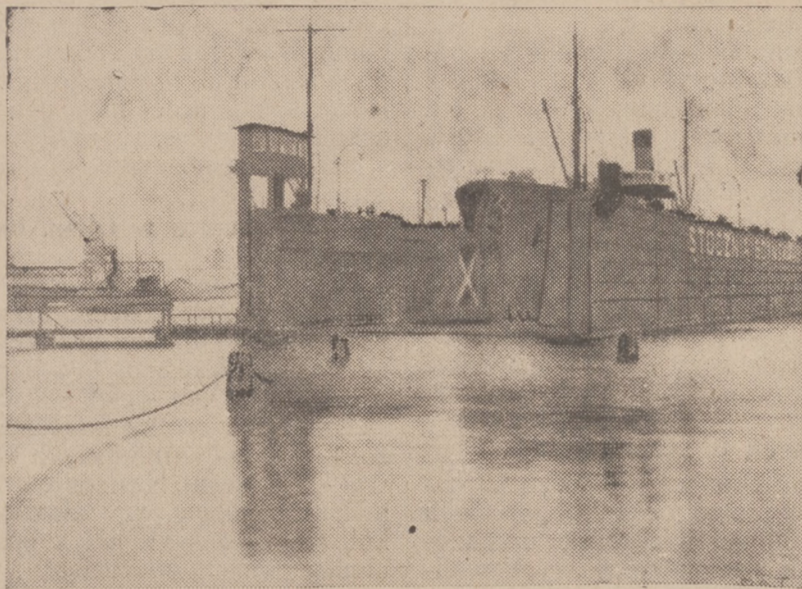
Wiklik Stanisław, kl. VII — prezes;

Dobrucki Waldemar, kl. VII — wicepezes;

Stanisz Zdzisław, kl. VII — sekretarz;

Bilski Jan, kl. VII — skarbnik.

Do Komisji Rewizyjnej na miejsce kol. Bilskiego, który wszedł do Zarządu. wybrano kol. Dębskiego Bronisława, kl. VI.



Pływający dok w Gdyni.

— Z działalności Samopomocy Uczniowskiej I Gimn. Państw. H. Sienkiewicza za I półrocze roku szk. 1931/1932.

Samopomoc własnym sumptem utrzymuje Świetlicę zaopatrzoną w pisma, gry oraz radjo. Samopomoc prowadzi „Sklepik uczniowski".

W porozumieniu z przedstawicielami gmin klasowych i organizacji urządziła Samopomoc uroczysty obchód 10-lecia działalności „Komitetu Rodzicielskiego" w dniu 6 grudnia 1931 r.

Samopomoc wzięła udział w urządzeniu akademji dla uczczenia działalności 25-lecia kapłaństwa J. E. ks. Biskupa Dr. T. Kubiny.

Samopomoc urządziła dwie imprezy dochodowe: koncert orkiestry gimnazjalnej z loterją fantową w sali gimnazjum w dniu 12. X. 1931 r. oraz wieczorek taneczny w dniu 27. XII. 1931 r.

Samopomoc przychodziła z pomocą pieniężną niezamożnym kolegom w postaci pożyczek zwrotnych. Przeważnie udzielono pożyczek na opłacenie czesnego. Udzielono 16 pożyczek na łączną sumę 540 zł. 86 gr.

Samopomoc zaopatrywała niezamożnych kolegów w książki do nauki. Wydatki na ten cel wyniosły 20 zł. 60 gr.

Samopomoc zakupiła nowe radjo na prąd do „Świetlicy" za cenę 560 zł.

Gminy klas starszych urządziły akademję ku czci H. Sienkiewicza z okazji 15-lecia jego śmierci.

Od roku szkolnego 1929/1930 istnieje przy Samopomocy koło dramatyczne, które jest sekcją Samopomocy.

Kuratorką koła jest p. prof. Helena Baczyńska. Prezesem kol. Kazimierz Prażmowski, kl. VII, Sekretarzem kol. Tadeusz Woźniakowski, kl. VII, Skarbnikiem kol. Jan Hertz, kl. VII.

Koło wystawiło „Kordjana" Słowackiego w dniu 29 listopada 1931 r. z okazji obchodu powstania listopadowego; brało również udział w urządzeniu akademji ku czci Or-Ota.

Kuratorem Samopomocy jest p. prof. Antoni Kmicikiewicz.

— Z obchodu na cześć J. E. ks. biskupa Bandurskiego w G. P. J. S.

Dnia 28 stycznia r. b. urządziła klasa VI naszego Gimnazjum przy współudziale uczenic kl. V-ej obchód ku uczczeniu 25-lecia uzyskania sakry bisku-

piej J. E. ks. biskupa Bandurskiego, gorącego polskiego patrjoty.

Na program obchodu złożyło się odczytanie charakterystyki działalności patrjotycznej i duszpasterskiej J. E. ks. biskupa Bandurskiego, odczytanie listów J. E. do Marsz. J. Piłsudskiego i do różnych organizacyj polskich, deklamacje solowe i chóralne oraz śpiew.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje kol. B. Siwczyńska, która z głębokiem odczuciem zadeklamowała wiersz p. t.: „Na rozkaz“, oraz kol. J. Nanysówna, która wykonała przy akompanjamencie kol. Proskurowskiej pieśń p. t.: „Wizja Szyldwacha“.

H. — O.

— Wieczorek w „Handlówce“.

W ostatnim dniu tegorocznego karnawału, t. zn. 9 lutego, odbył się w salach Szkoły Handlowej wieczorek, urządzony staraniem Samopomocy wychowanków tegoż zakładu.

Przy dźwiękach znakomitej orkiestry tańce prowadził wodzirej: kol. Komarnicki.

Podkreślić należy miły i swobodny nastrój, jaki panował na wieczorku, tak różny od najczęściej spotykanej podczas takich zabaw szablonowej powagi.

— „Choinka“ w Gimn. Związkowem.

Dnia 23 stycznia b. r. staraniem Sekcji Imprezowej przy Komitecie Rodzicielskim została urządzona „Choinka“ dla uczniów klas niższych Gimn. Zw. Impreza ta była urozmaicona nader miłemi i ciekawemi niespodziankami.

Przy efektownie ubranem drzewku własna świeżo zorganizowana orkiestra dęta wykonała kilka pięknych kompozycyj, następnie kol. Kaniewski i kol. Mandat (kl. I) oddeklamowali z odczuciem utwory p. t. „Karnawał“ i „Nowy Rok“.

Na szczególną uwagę zasługiwał „Djalog karłów“, prowadzony z wielkiem zacięciem przez kol. Ciurzyńskiego i kol. Kubickiego (kl. II). Z wielką werwą i brawurą odegrana została przez zespół uczniów komedyjka p. t. „Bakalijki“.

Na zakończenie chór uczniowski pod kierownictwem p. prof. Pietrzaka odśpiewał kilka pięknych kolend, poczem o godz. 20,30 po dokonaniu zdjęć fotograficznych przez Kółko Krajoznawcze Gimn. Zw. oraz po spożyciu wspólnego podwieczorku, wydanego przez Komitet Rodzicielski, uczestnicy opuścili gmach szkolny, wynosząc miłę wspomnienie wieczoru, spędzonego w radosnym nastroju.

S. K.

— Z koncertu w Gimn. im. R. Traugutta.

Dnia 13 lutego r. b. odbył się w sali I Gimn Państw. koncert, urządzony staraniem Samopomocy uczniowskiej G. P. T. Poziom koncertu był bardzo wysoki Udział w nim wzięli soliści, orkiestra i chór. Na początku koncertu chór, złożony z uczniów młodszych klas, odśpiewał kilka pieśni. Następnie grał kol. Płomiński, który przy akompanjamencie kol. Raicoma wykonał z doskonałą techniką i dużem odczuciem: „Tańce hiszpańskie“ — Sarassatiego, „Kujawiaka“ — Wieniawskiego oraz Młynarskiego „Mazura“, a na bis „Czardasza“ Mini'ego. W części II koncertu występowali dwaj soliści: kol. K. Bem, oraz kol. Jełowicki. Kol. Bem wykonał na fortepianie: Griega „Sonatę E-mol cz. I“, 2 „Mazurki“ Chopina i marsza z opery „Miłość do trzech pomarańczy“ — Prokofieffa. Grą swą zyskał kol. Bem uznanie publiczności.

Kol. Jełowicki, znany szerokim kołom młodzieży, jako b. dobry deklamator, wypowiedział urywek z „Pana Tadeusza“, a mianowicie „Poloneza“.

Solistom sekundowała godnie doskonała orkiestra II gimn., która pod batutą p. prof. Wopaleńskiego wykonała pięknie szereg utworów; a więc w cz. I-ej: „Marsza Bohaterów“ i „Przy ognisku“, K. Wopaleńskiego, „Walca Łyżwiarzy“. Waldteufla i uwerturę do opery „Violetta“, Verdi'ego, w części II zaś: „Memeta“ Paderewskiego, Wiehrera: „Schliffpost“, „Młyn w czarnym lesie“, Eilenberga i Namysłowskiego „Mazury“.

H. — O.

— Z koncertu, urządzonego na cel Tow. „Opieki nad zwierzętami“.

Dnia 6 lutego r. b. w sali I Gimn. odbył się koncert, urządzony na cel „ow.

Opieki nad zwierzętami". Udział w koncercie wzięły uczenice G. P. J. S., uczenica G. Z. K. i młodsi uczniowie tegoż gimnazjum. Program koncertu był bardzo urozmaicony. Złożył się na niego chór uczenic G. P. J. S., który wykonał pod dyr. p. prof. Mąkoszy kilka pieśni, inscenizacja piosenki „Uciekła mi przepióreczka w proso", pantomina p. t. „Dziewczynka i błazny", tańce, komedyjka i gra fortepianowa.

Ze wszystkich numerów, wykonanych przez uczenice G. P. J. S. najładniej wypadł staropolski taniec: kurankt oraz wyżej wymieniona pantomina.

Inne numery w wykonaniu uczenic tegoż gimnazjum udały się również dzięki ślicznym barwnym strojom i doskonałej reżyserji.

Komedyjka p. t. „Bakalijki", odegrana przez uczniów Gimn. Związkowego podobała się ogromnie, dzięki swemu niefrasobliwemu i wesołemu nastrojowi.

Na zakończenie koncertu kol. Lernerówna wykonała na fortepianie dwa mazurki Chopina, zyskując uzanie publiczności.

H. — O.

— Koncert w I Gimn. Państw. im. H. Sienkiewicza.

Staraniem Samopomocy odbędzie się koncert w dniu 12 marca i poranek w dniu 13 marca.

Na program złożą się: chóry, orkiestra symfoniczna, występy solowe, trio oraz deklamacje.

Chóry odśpiewają między innemi wiązankę pieśni legjonowych p. prof. Edw. Mąkoszy.

Całość pod kierunkiem p. prof. Edwarda Mąkoszy.

Koncert ze względu na urozmaicony program, jakoteż i cel, na jaki dochód zostaje przeznaczony, niewątpliwie znajdzie poparcie ze strony młodzieży wszystkich szkół.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

ARYTMOGRAF

Ułł.: W. Grandys i Jerzy Freund (V-a G.P.H.S.)

2 punkty.

1	1 2 3
2	4 5 6 11 7 8 5 9 10
3	3 11 12 7 13 14
4	4 5 15 16 17 3 4 9
5	5 18 2 19 17 7 4 15
6	12 2 9 20 12
7	5 11 9 5 9
8	20 2 11 17 13 4 16 16 17
9	2 10 12 21 12
10	16 2 5 6 22 20 2 18
11	2 11 23 17 16 16 4
12	13 22 17 4 19
13	17 19 18 11 4 9 12 11 8 2
14	4 16 9 17 16 4 3 20 4 6 5 2 11
15	1 15 12 10
16	12

Zamiast cyfr podstawić odpowiadające im litery. Podkreślone, czytane z góry na dół dadzą nazwę święta narodowego, które obchodzone będzie w tych dniach w całej Polsce.

Dla ułatwienia podajemy klucz:

Miasto w Anglji: 19, 12, 7, 13, 22, 4, 9, 20, 4, 11.

Prowincja Francji: 16, 12, 7, 6, 21, 4, 3, 2. 13, 8, 12.

SZARADA

Uł.: „Tyka".

3 punkty.

Z podanych niżej sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe i końcowe litery dadzą rozwiązanie.

a — a — bre — ce — cja — dy — gur — jal — kla — le — lej — let — lach — lu — mand — ma — mo — ner — no — ny — ok — pa — ra — ran — ran — rat — re — so — ta — ti — tio — tor — tryw — u — u — ul — wa — wa — wo — żer.

Znaczenie wyrazów: 1) Palnik (wspak). 2) Część mieszkania, 3) Bożek fenicki, 4) Gwałtowny deszcz, 5) Przyżąd, 6) Część uprzęży, 7) Wódz naczelny z władzą nieograniczoną, 8) machina wojenne u starożytnych, 9) Przewrót społeczny, 10) Urządzający zabawy taneczne 11) Zwykły termin wypłaty weksla, 12) Lubiący łakotki, 13) Ostateczny ratunek, 14) Figura w kartach (wspak), 15) Gminny.

W numerze tym kończymy konkurs szaradowy. „Zwycięzcy" po nadesłaniu ostatniej grupy rozwiązań otrzymają cały szereg cennych książek, jako nagrody za pracę.

Nawiasem zaznaczamy, że do rozwiązań dołączyć należy znaczek 10-groszowy.

OFIARY NA BANK MŁODZIEŻY.

Kol. W. Kossówna G.J.S., składa 5 zł. na Bank Młodzieży, wzywając:
kol. Sabinę Hermanównę, G.J.S., kol. Zyg. Sztukę, G.H.S.,
kol. St. Terleckiego, G.H.S.

Popierajcie firmy ogłaszające się w „Świecie Szkolnym"!

— **Sprostowanie.**

W Nr. 3 tegorocznego „Świata Szkolnego" zaszły następujące nieścisłości, które poniżej prostujemy:

Autorem artykułu „Na tle spisu ludności" jest nie kol. Widawski, jak mylnie podano, lecz kol. Widerski.

Pozatem w artykule „Weksel w życiu handlowem" na str. 13 w 10-tym rzędzie od góry napisano w zdaniu wyraz: podtrzymujących — zamiast: powstrzymujących, co zmienia zupełnie istotę rzeczy.

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **E. Basiński.**

Korespondencje i prace nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **E. Basińskiego,** II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel. 2-95.